

## Sześć dni na Gąsienicowej

Autor: Zygmunt Skibicki

11.08.2009.

Zmieniony 12.08.2009.

Planowaliśmy to już od września zeszłego roku, gdy nagłe ochłodzenie wyгнаło nas spod Wołowej Turni. W lutym zamówiłem noclegi w Murowańcu...

### 5. sierpnia

Startujemy z Łodzi o piątej rano. Do Szaflar docieramy po pięciu godzinach, ale już przed Poroninem wbijamy się w koszmarny korek. W dodatku zaczyna delikatnie mżyć... Na szczęście umówiliśmy się ze znajomymi mieszkającymi dosłownie na samym początku Zakopanego, że zostawimy u nich nasze "pędziło". Dalej jedziemy już taksówką przez Olczę i rondo kuźnickie do samych Kuźnic. Na bramce płacimy parkowe "myto" za wszystkie dni pobytu i zaczynamy podchodzić. Widoczność zaczyna gwałtownie spadać. Coś "psika" z góry – nie jest dobrze!

W godzinę i dwadzieścia minut docieramy do Murowańca, meldujemy się i... zupa chmielowa!

Mży już regularnie i bez przerwy. Za oknami ledwo widać pobliskie świerki - nie ma sensu gdziekolwiek się włączyć. Pytam w recepcji o prognozę na kolejny dzień. Miła skądinąd dziewczyna odpowiada mi jednym, ale jakże precyzyjnym słowem – dupówa!

Popołudniowa drzemka o mało nie przeradza się w problem – przed samą 21-szą kupujemy chleb i zalewamy wszystkie trzy termosy.

### 6. sierpnia

Przed siódmą za oknami "bar mleczny". W jadalni pustka kompletna. Poza nami jest jeszcze z pięć osób. Wolno jemy śniadanie i decydujemy, że jednak pójdziemy, ale tylko kawałek szlakiem i odrobinę ścieżką taternicką w bok na rekonesans pod ścianę.

Widoczność w czasie drogi nad Czarny Staw trochę się zmienia, ale trzydziestu metrów jakoś nie potrafi przekroczyć. Momentami leje jak z konewki.

Przy brzegu napotykamy najbardziej obfotografowane kaczki świata i też oczywiście je uwiecznimy, choć widoczność spada do zaledwie kilku metrów.

Znad Czarnego Stawu podchodzimy jeszcze sporo żółtym szlakiem pod Skrajny Granat i odnajdujemy ścieżkę w prawo. Teraz to już bardzo ostrożnie stawiamy nogi, bo ścieżki taternickie są mocno zarośnięte i nie wszystkie kamory widać – łącno można nogę skrócić.

Dochodzimy do żebra, ale czy to jest to "nasze"? Ze schematu drogi wynika, że powinniśmy wejść ścianę nieco z prawej... "Obmacujemy" jedno, potem drugie i wreszcie trzecie próbując się trochę "wbic" w ścianę. Wreszcie decydujemy, które jest to "nasze". Wrócimy tu następnego dnia, bo ponoć ma się "przetrzeć"...

Cały spacer trwał nieledwie cztery godziny, a jesteśmy złani kompletnie. Nasze podejściówki są zbyt delikatne jak na smagane deszczem trawy i... mamy mokre nogi. Kurcze! A solidne buty zostały w domu!

Po przebraniu się kombinuję, jak by tu wysuszyć nasze buty. Przed wieczorem we wszystkich możliwych

do wyniuchania ciepłych miejscach wisi od cholery ciuchów i butów. No tak, ale nie po to od tylu lat tam bywam, by nie znać miejsc ogólnie dostępnych, ale jednak nie dla wszystkich widocznych&hellip;

7. sierpnia

Rano buty mamy nie tylko suche, ale i ciepłuteńkie! Coś się tam jeszcze kłaczonego włóczy za oknami, ale to już zupełnie inna pogoda i&hellip; jest nadzieja. Graty od wczoraj spakowane, więc tylko śniadanie i&hellip; jazda!

Poziom wody w Czarnym Stawie zaskakuje nas wysokim stanem &ndash; w ciągu doby przybyło dobrych dwadzieścia centymetrów.

Na dobrą sprawę nie było sensu poprzedniego dnia się tak moczyć. Już ze szlaku widać dokładnie, które żebro jest nasze i gdzie w nie &bdquo;wchodzić&rdquo;? Tuż za nami pod ścianę podchodzi kolejny zespół, ale muszą poczekać aż wyjdziemy odpowiednio daleko w górę i w bok, by ewentualnie spuszczone kamień nie spadł im na głowy. Jest chłodno, więc by ich nie narażać na zbyt długie czekanie, od razu wchodzimy w ścianę.

- Asekurujesz?

- Tak!

- Mogę iść?

- Możesz.

Po kilku metrach tracę go z oczu. Teraz już tylko uciekające "gdzieś" dwie żyły liny świadczą o posuwaniu się w górę. Cichną także odgłosy.

Potem długie i uważne wypuszczanie obydwu żył liny przez przyrząd, by luzu było w sam raz i by nie ściągnąć partnera (syna) z wątych stopni i chwytów, na których się opiera i od czasu do czasu &bdquo;coś&rdquo; zakłada.

Potem długie i uważne wypuszczanie obydwu żył liny przez przyrząd, by luzu było w sam raz i by nie ściągnąć partnera (syna) z wątych stopni i chwytów, na których się opiera i od czasu do czasu &bdquo;coś&rdquo; zakłada. Co jakiś czas lina "przystaje" na chwilę - pewnie on gdzieś zakłada właśnie "coś". Potem znów lina "rusza".

- Pół liny! &ndash; drę się przestrzeń i teraz obserwuję także tę pozostałą ilość, by ostrzec o zbliżającym się końcu. Jedna z żył raptem rusza krótko w górę, a druga pozostaje w miejscu - pewnie zakłada auto...?

- Auto! &ndash; wreszcie dochodzi z góry i mogę zaprzestać asekuracji.

- Ściągaj!

Resztki liny szybko teraz znikają ze stanowiska, mkną ku górze i wreszcie czuję, że mnie lekko ciągną. Szybka likwidacja stanowiska: karabinki, kości, mechaniki na szpejarkę; krótkie pętle przez kark i pachę, długie złożyć na pół i założyć tak samo&hellip;

- Mogę iść?

- Możesz!

Wreszcie można się ruszyć. Ten chłód po dwóch dobach deszczowych jest dość dokuczliwy i chętnie drapię się na kolejne stopnie. Chwyty też jakoś logicznie się układają...

Zdejmuję kolejne pętle przelotów, zbieram ekspresy, wypinam mechaniki, wybijam mocno osadzone kości. Czasem trzeba pomóc sobie jebadełkiem, by je ruszyć. Gdy się gdzieś za długo guzdrzę, powoli wybierana lina zaczyna mnie ciągnąć za&hellip; tyłek. Gdy stopnie i chwyty są maleńkie, nie jest to sympatyczne.

- Czekaj! &ndash; drę się w przestrzeń, a jedyną odpowiedzią jest zanik naprężenia lin.

Choć to dopiero w nocy skończyło padać, ściana jest zupełnie sucha. Tylko w kępach traw siedzi jeszcze od groma wody, ale nie ma ich za dużo po drodze. Na Kościelcach powoli powiększają się nasłonecznione plamy. Jeszcze jakiś czas upłynie zanim poczujemy jego ciepło. Póki co na rozgrzewkę jest tylko szybkość wspinania&hellip;

Dochodzę do stanowiska i natychmiast się w nie wpinam. Porządkujemy sprzęt, trochę się rozglądamy.

Jest czas na szybką fotkę, łyk napoju, suszoną śliwkę, pogryzę czy cukierka&hellip;

- Mogę iść?

- Możesz&hellip;

Wyciąg za wyciągiem &ndash; każdy inny, każdy stopień i każdy chwyt jest różny od poprzedniego&hellip;

I nagle znajomy złowrogi, narastający, ponury klekot! Leci &quot;śmigło&quot;&hellip; Po kogoś&hellip;! Cholera&hellip;! Znowu&hellip;! Jeszcze uważniej sprawdzamy każdy chwyt, ryskę i stopieniek. Z opisu jedno miejsce jest tam ponoć &quot;piątkowe&quot;. Gdyby nie ten autorytatywny opis, to bym tego nie zauważył. Inna sprawa, że gdyby tam było mokro&hellip; Wreszcie wychodzimy na górne stanowisko &dash; wprost na szlak turystyczny po którym idą &quot;normalni&quot; i trochę z podziwem, a trochę z dezaprobatą patrzą na nas i ten cały szpej, którego znaczenia nie rozumieją. Mają prawo sądzić, że my łazimy po tych &quot;ścianach&quot; zupełnie &quot;niepotrzebnie&quot;&hellip; Trudno się im jednak dziwić, że chcą się z nami fotografować. Zwijamy więc wszystko szybko i dokładnie wciskamy do plecaków, by nic nie wystawało. Za chwilę wyglądamy na zwykłych turystów. No, może tylko z trochę większymi plecakami i prawie niezauważalnie mniej&hellip; zasapanych.

Nieco mało nam było tej wspinaczki i postanawiamy podejść te ostatnie dwieście metrów w górę i przejść Orlą od Skrajnego do Zadniego Granatu &dash; Kuba jeszcze nigdy nie szedł między Zadnim a Kozią Dolinką - jest akurat okazja. Widoków z tej drogi to praktycznie nie było żadnych. Ot, od czasu do czasu coś się &quot;odsłoniło&quot;: raz na Buczynową, raz na Gąsienicową. Krótki ten kawałek Orlej, ale razem z żebrem to kawał dnia nam zeszło.

Kozie, Zmarzła Przełęcz, Czarne Ściany, góra Żlebu Kulczyńskiego, Rysy Zaruskiego &dash; wszystko nurzało się w chmurach. Raz bardziej zakryte, to znowu na moment tylko widoczne. Sporo śniegu jeszcze zostało. Fajnie, że już nie padało.

Nad Zmarzłym Stawem wtapiamy się w regularny &quot;sznurek&quot; adidasowego towarzystwa i razem schodzimy w dół. Przy Murowańcu już robiło się pustawo. Późnym wieczorem dowiedzieliśmy się, że tym razem &quot;śmigło&quot; leciało po ciału znanego himalaisty Andrzeja Marciniaka &dash; kolejny znajomy dostanie swą tabliczkę pod Osterwą...

8. sierpnia

Już dawno chcieliśmy razem pójść na &quot;setkę&quot;. Tak tę drogę zanumerował Witold Henryk Paryski i tak jest przez taterników nazywana od&hellip; &quot;zawsze&quot;. Raz już, kilka lat temu byliśmy pod nią, ale akurat tak লাło, że oczywiście daliśmy sobie na luz robiąc tylko w miarę dokładne rozeznanie drogi podejściowej. Popatrzyliśmy wówczas na wydrapane w ścianie &quot;100&quot; i&hellip; wróciliśmy do schroniska, bo ta droga "na mokro" jest jednak nie dla nas.

Przyszedł wreszcie na nią dobry czas. Pogoda wyglądała na &quot;drucianą&quot;&hellip; Tym razem to my musieliśmy poczekać, bo jakaś czwórka &quot;kursowa&quot; była już w ścianie, gdy podeszliśmy. Kurs, jak kurs&hellip; idzie wolno i nie zawsze rozsądnie. Woleliśmy skryć się pod szerokim okapem ściany. Nie bez powodu. Świsnęło coś z góry i łupnęło głucho w trawy. Nawet się o ścianę nie odbiło. Za chwilę znowu i jeszcze raz&hellip;

- A kamień, to ch.. !? &dash; ryknąłem brutalnie na całe gardło aż od Zawratu, Granatów i z Koziej odpowiedziały mi kolejne echa.

Coś na górze zrobiło się głośno i jeszcze bardziej niecenzuralnie, ale kamloty przestały spadać. Poczekaliśmy jeszcze kwadrans, i gdy już ci na górze przenieśli się ostatecznie nad kolejny żleb, weszliśmy w ścianę. Powoli i uważnie pięliśmy się w górę, bo choć &quot;notowania&quot; setki są sporo niższe niż wczorajsze żebro, okazała się bardziej wymagająca... naszym zdaniem.

I znów usłyszeliśmy helikopter. Po chwili ukazał się bardzo nisko nad Czarnym Stawem. Leciał w kierunku Zawratu, ale bardzo wolno. Wreszcie zawisł nad ścieżką szlakową bardzo blisko stromych ścian i najpierw jeden ratownik, potem drugi zostali spuszczeni wyciągarką. Maszyna odleciała w dolinę dając czas ratownikom na udzielenie pomocy. Zanim zrobiliśmy kolejny wyciąg, śmigło przyleciało, wciągnęło obydwa ratowników i poleciało.

- Mają chłopaki jaja, nie? &ndash; bardziej stwierdził niż spytał syn i nie czekając na żadną odpowiedź wszedł w kolejny wyciąg.

Fajna jest ta setka, ale bardziej się ucieszyłem niż zmartwiłem, gdy się skończyła. To była radość, że się to wreszcie skończyło, czy że zrobiliśmy to razem&hellip;? Nie zawsze potrafię to rozróżnić&hellip;

Dzień był jeszcze nie za bliski wieczora, więc obchodząc szczyt Zadniego Kościelca podeszliśmy pod kopułę &bdquo;turystyczną&rdquo; i wdrapaliśmy się na nią. Może to śmieszne, a nawet trochę dziecinne, ale lubię kończyć wspinaczkę w pobliżu turystów. W końcu każdy ma prawo do odrobiny próżności, byle nie obnosił się z nią zbyt ostentacyjnie. Zresztą, duża większość naszych tatrzańskich dróg wspinaczkowych i tak kończy się na szlakach...

Rozmontowywaliśmy się bez słów chowając sprzęt do plecaków, ale oczywiście ktoś musiał zapytać:

- A ile liny potrzeba na taką wspinaczkę?

- A kask to jest rzeczywiście potrzebny jakiś specjalny, czy może być taki... rowerowy?

- A ile haków trzeba mieć? &ndash; skąd miał człowiek wiedzieć, że haki i młotek to relikty prawie już nie używane?

Coś tam w miarę prosto odpowiedzieliśmy, ale chyba facet bardziej chciał po prostu zagadnąć niż rzeczywiście się dowiedzieć. Za rozmowni jednak nie byliśmy. To był pracowity dzień i czuliśmy się obydwaj solidnie zmęczeni.

Pogodnym wieczorem schodziliśmy na Karb i później przez Pojezierze spoglądając na planowany na kolejny dzień Filar Świnicy &ndash; długie to jak nieszczęście! Światło robiło się już coraz bardziej &bdquo;ciepłe&rdquo; i postrzelałem trochę zdjęć. I znów w Murowańcu było już po tłumnym tumultcie. Jakże dobrze smakowała nam zupa&hellip; chmielowa.

9. sierpnia Trzeci, kolejny dzień ładnej pogody, to w Tatrach rzadkość! No, ale akurat mieliśmy to szczęście. Po śniadaniu poszliśmy wczorajszą drogą zejściową aż do Czerwonych Stawków i dalej w kierunku Przełęczy Świnickiej w stosownym miejscu skręcając na ścieżkę podejściową pod ogromny Filar Świnicy, którego tak po prawdzie&hellip; nie ma.

No, niby w ogólnym zarysie jest coś takiego jak filar, ale z bliska okazuje się, że przynajmniej w dolnej jego części jest to rozchrzanione na boki w jakieś trawniki, skośne płyty, zachody&hellip; W dodatku po tym wszystkim ciecze woda, a miała się skąd ostatnimi czasy brać&hellip;

Mało jest miłośników wspinaczki po mokrych skałach. My do nich też nie należymy&hellip;. Sporo było tego kluczenia pomiędzy odcinkami zdecydowanie pnącymi się w górę. Po słabo nachylonych płytach po prostu szliśmy prawie wyprostowani. Śmiesznie jest iść dzwoniąc żelastwem&hellip;

Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie filar &bdquo;zdecydował&rdquo; się pójść konkretnie w górę. Żeby to jednak miała być jakaś wymagająca wspinaczka, to bym nie powiedział. Tyle, że długa&hellip; No i mnóstwo "luzaków" tam leżało. Trzeba był sprawdzać każdy chwyt. Sypało się to spod nóg strasznie.

- Kamień! - kilka razy rozdzierałem się na całą dolinę, gdy któryś potoczył się w dół i zniknął mi z pola widzenia. Wszak nie widziałem, czy aby przypadkiem ktoś nie był akurat pod nami...

Z każdym wyciągiem poszerzał się widok na ogromne Pojezierze Gaśienicowe i rosła ilość napotykanych, włożonych dawno temu, pordzewiałych haków &ndash; niektóre z porzrywanymi uchami. Strach się do tego żelastwa wpinać. Wreszcie Kuba nie mając jak założyć stanowiska wyjmując z plecaka pęczek

regularnych haków i łoi młotkiem jednego w szczelinę. Potem ledwo wybijam go sporym kamlotem, bo mamy tylko jeden młotek. Znów gdzieś nad nami przeleciał śmigłowiec&hellip;

Droga kończy się na tym &bdquo;nie turystycznym&rdquo; szczycie Świnicy, z którego ponoć niektórzy instruktorzy przeprowadzają kursantów &bdquo;na żywca&rdquo; na oczach gawiedzi obserwującej to z kopuły szczytowej, na którą wychodzi szlak. Jakoś nie uśmiechała się nam taka nonszalancja i spokojnie po dość skomplikowanym rumoszu wielkich głazów dotarliśmy do szlaku, gdzie uważnie pakujemy sprzęt przeliczając czy czegoś nie zostawiliśmy po drodze. Tym razem jakiś mocno wysztyftowany harcerz prowadząc kilku też umundurowanych, ale mniej poobznaczkowanych chciał się dowiedzieć:

- A na co się panowie dziś wspinali?

- Na Świnicę&hellip; jak widać.

- I udało się?

- Jak widać&hellip;

- A z której strony panowie wchodzili?

- Z północnej.

- A jak panowie weszli?

- Tak samo jak za chwilę zejdziemy &ndash; stopień za stopniem.

No, rzesz cholera! Nie umiem odpowiadać na pytania zadawane dla&hellip; zadawania! Poszli &ndash; na szczęście w kierunku Zawratu. My w kierunku Świnickiej&hellip;

Nałupane jest tam łańcuchów chyba rzeczywiście tylko po to, by prowokować zwykłych turystów do wejścia na szczyt po zaladzonych skałach. Na Przełęczy Świnickiej nie bardzo mamy ochotę na ostrą &bdquo;windę&rdquo; w dół po układanych stopniach, ale wpadamy na pomysł, że można przecież przejść na Liliowe i kawałek pójść &bdquo;drogą praojców&rdquo; dziś prawie nie używaną.

Obchodzimy więc Pośrednią Turnię i przechodzimy przez Beskid. Rzeczywiście widać, że na Liliowym kończą się Tatry Wysokie a zaczynają Zachodnie - zupełnie inne głazy mamy pod nogami na zejściu. Dla zwykłych laików nie wygląda to na granit. Nawet porosty na nich nie są wydeptane do czysta.

No i to mnóstwo kwiecica między bielejącymi głazami! Długo to trwało i późno doszliśmy do schroniska, ale przecież nie dla siedzenia w tłumie tam pojechaliśmy.

10. sierpnia

Znów ładna pogoda, ale dla nas to już dzień zejścia do cywilizacji. Spakowani ładujemy wory na plecy i nie ociągając się schodzimy w miarę szybko. Przecież i tak jeszcze tu wrócimy!

W Kuźnicach łapiemy szybko taksówkę i po kilkunastu minutach jesteśmy już przy samochodzie. Zaczyna się mozolne opuszczanie Zakopanego, w którym praktycznie w ogóle nie byliśmy. No i fajnie!